

Nie ma zgody na zmienianie prawdy Bożej. Jacek Salij OP o tym, co zmienne i niezmiennie w Kościele

To jest wielkie w Kościele katolickim, że niezmiennie są w nim tylko dary zostawione nam przez Chrystusa dla naszego zbawienia, nie przypisujemy zaś cechy niezmienności niczemu, co nie jest niezmiennie ze swojej natury. A zatem Pismo Święte jest dla nas niezmiennie słowem Bożym – mówi ojciec Jacek Salij OP w wywiadzie z książki „Non possumus. Niezgoda której uczy Kościół”, opublikowanej dzięki staraniom wydawnictwa Demart.

Paweł Milcarek, Tomasz Rowiński: Co jest w Kościele niezmiennie, a co może się zmieniać?

Ojciec Jacek Salij OP (dominikanin, profesor nauk teologicznych, pisarz i publicysta): To pytanie ma sens tylko na gruncie rzetelnej wiary, że to sam Bóg naprawdę obdarzył nas Kościołem, a nie, że to kwestia naszych wierzeń, przekonań. Krótko mówiąc, powyższe pytanie odnosi się do Kościoła, który jest dziełem Bożym, a nie ludzkim. Gdyby Kościół był instytucją tylko ludzką, czymś śmiesznym byłoby zadawać sobie takie pytanie, gdyż i bez specjalnych poszukiwań byłoby czymś oczywistym, że wszystko w takiej instytucji jest zmienne.

Co więc jest niezmiennie w Kościele Bożym?

Przede wszystkim niezmienna jest miłość Boga do Kościoła. Niezmiennie w Kościele jest to, że zawsze jego widzialnym centrum będzie ofiara Najświętszej Eucharystii. Niezmiennie są również inne pozostawione nam przez Chrystusa źródła łaski - chrzest i pozostałe sakramenty. Niezmiennie jest to, że struktura sakramentalna Kościoła opiera się na sukcesji apostoelskiej, a widzialnym osobowym znakiem jedności Kościoła jest następca Piotra. Niezmienna w Kościele jest otrzymana od Chrystusa nauka, autentycznie zapisana w Piśmie Świętym, zwłaszcza w czterech Ewangeliach – i w ciągu wieków rozpoznawana (dzięki obecności i pomocy Ducha Świętego) w żywej Tradycji. W Kościele jest czymś nie do pomyślenia, żeby ktokolwiek – choćby nawet papież czy sobór powszechny – miał prawo ustalać albo zmieniać prawdę Bożą. Kiedy kolejne sobory czy papieże ogłaszają dogmaty wiary, nigdy ich nie ustanawiają. Wszystkie dogmaty Kościoła były i będą ogłaszane w łączności z wiarą poprzednich pokoleń Kościoła, jako prawdy już od początku w wierze chrześcijańskiej obecne.

Jednak nasze rozumienie Bożej prawdy się rozwija?

Sam tekst Nowego Testamentu stanowi bezcenne świadectwo rozwoju wiary w wymiarze całego Kościoła. Chodzi nie tylko o to, że przed Kościołem raz po raz stawały jakieś nowe problemy, które trzeba było rozstrzygnąć. Zresztą cała jego historia świadczy o tym, że nie było jeszcze pokolenia, w którym by Kościół nie stanął przed jakimiś nieznanymi dotychczas, a nieraz nawet dotąd nieprzeczuwanymi problemami. Co więcej, zazwyczaj bywa tak, że do jasnego i jednoznacznego ich rozstrzygnięcia dochodzi Kościół w trudzie długich poszukiwań i polemik. Aż do Dnia Sądu Kościół będzie się pogłębiał w

swoim poznaniu i rozumieniu Objawienia, jakim Bóg raz na zawsze obdarzył nas w Jezusie Chrystusie.

A więc rozwój świadomości wiary jest czymś koniecznym. Kościół ma święty obowiązek troszczyć się o to, ażeby rozwój rozumienia dogmatów w niczym nie naruszył prawdy wiary, czyli jej pełnej zgodności z Bożym Objawieniem.

Ale czy ten rozwój oznacza, że zmienia się, powiększa Boże Objawienie?

Taki pogląd istnieje nawet u niektórych chrześcijan. Ale odbierałby on wszelki sens prawdzie – od początku wyznawanej przez chrześcijan – że w Chrystusie Bóg objawił się nam ostatecznie i w pełni, że w Nim zawarł z nami przymierze nowe i wieczne.

Trudno zakwestionować tezę piątą *Syllabusa* błogosławionego Piusa IX (z 1864 roku), że nie da się być katolikiem i jednocześnie wyznawać poglądu. Nie ma zgody na zmienianie prawdy Bożej jakoby „Objawienie Boże było niedoskonałe i dlatego podlegało ciągłemu i nieokreślonymu rozwojowi, który odpowiada postępowi rozumu ludzkiego”. I trudno nie zgodzić się ze spostrzeżeniem świętego Piusa X – sformułowanym zarówno w dekrecie *Lamentabili*, jak i w encyklice *Pascendi* – że powyższy pogląd świadczy o zniekształceniu samego pojęcia Objawienia, jakoby polegało ono jedynie na „uświadomieniu sobie przez człowieka swego stosunku do Boga”.

Takie poglądy na temat Objawienia otwierały szeroko bramę dla dogmatycznego relatywizmu, a ich przyjęcie oznaczałoby koniec wiary katolickiej. Otóż po autorytatywnym ich odrzuceniu przez Stolicę Apostolską pojawiły się próby - ale to dopiero po Soborze Watykańskim

*W Chrystusie Bóg objawił się
nam ostatecznie i w pełni, w
Nim zawarł z nami przymierze
nowe i wieczne*

II – otwarcia
przynajmniej furtki
dla takiego
relatywizmu.
Przestrzega przed
nimi deklaracja
Kongregacji
Doktryny Wiary z 24

czerwca 1973 roku. „Wierni muszą odrzucić – mówi się we wspomnianej deklaracji - opinię, według której, po pierwsze, formuły dogmatyczne (albo pewne ich rodzaje) nie potrafią wyrazić prawdy dokładnie, lecz podają ją tylko w zamiennych przybliżeniach, które mogą zniekształcić lub zmienić prawdę; po drugie, wspomniane formuły przedstawiają prawdę w sposób niedokładny i dlatego należy jej ustawicznie szukać za pomocą owych przybliżeń. Kto przyjmuje taką opinię, nie może się uchronić przed relatywizmem dogmatycznym i zniekształca pojęcie nieomyślności Kościoła”.

Ostatecznie chyba wszystko zależy od tego, jak pojmujemy samego Chrystusa: czy to jest po prostu wielki nauczyciel, który inspiruje różne poszukiwania, czy Bóg, który zstąpił z nieba?

Rzecz w tym, że z Jezusem Chrystusem naprawdę jest tak, jak od dwóch tysięcy lat wyznaje Kościół: Chrystus Pan nie był geniuszem religijnym, któremu udało się wyjątkowo głęboko rozpoznać prawdy ostateczne i w sposób zrozumiały je przedstawić. On jest Synem Bożym, który przyszedł do nas jako osobowy dowód miłości Ojca do swoich stworzeń, zaś prawdy o Bogu On nie szukał ani się jej nie domyślał, ale przyniósł ją od swojego Ojca: „Boga nikt nigdy nie widział, Ten Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, [o Nim] pouczył” (J 1,18).

Prawda znaleziona przez największych nawet geniuszy domaga się dopracowania przez uczniów i następców, niekiedy korekty, a zawsze – spojrzeń sprawdzających, krytycznych i polemicznych, a nawet propozycji alternatywnych. Nie tak jest z prawdą przyniesioną przez Jezusa Chrystusa. Ona jest darem Bożym, na który trzeba się otworzyć możliwie całkowicie w pełnym zawierzenia posłuszeństwie.

No dobrze, ale powiedział już Ojciec wyżej, że niezmiennie Objawienie przemienia nasze myślenie stopniowo, i dotyczy to także różnych pojęć w Kościele. Czy w tradycji jest jakiś model tego rozwoju?

W czasach Ojców Kościoła wypracowano modele, za pomocą których próbowano wyjaśnić, na czym polega rozwój rozumienia dogmatów. Szczególnie został zapamiętany model zaproponowany w roku 433 przez świętego Wincentego z Lerynu, gdzie wiara Kościoła oraz jego wierność otrzymanemu od Chrystusa Objawieniu porównana jest do organizmu żywego, który rośnie i zmienia się, zachowując jednak swoją tożsamość. Postęp w Kościele – wyjaśnia Wincenty – „niech będzie naprawdę postępem wiary, a nie zmianą. Bo przecież istota postępu na tym polega, iż rzecz jakaś rozrasta się w sobie; istota zaś zmiany na tym, iż rzecz jakaś przechodzi w zupełnie inną. Niechże więc wzrasta i olbrzymie nawet postępy czyni zrozumienie, wiedza, mądrość – tak w każdym z osobna, jak u ogółu, tak w jednostce, jak w całym Kościele według poziomu lat i wieków - ale koniecznie w swojej jakości, to jest w obrębie tego samego dogmatu, w tym samym duchu, w tym samym znaczeniu” (*Commonitorium*, 28).

Mówimy ciągle o tym, co najbliższe niezmiennemu depozytowi wiary. Są jednak w Kościele i takie przestrzenie, gdzie zmiany mogą iść dość daleko, prawda?

Jedną z tych dziedzin, w których już od czasów apostołskich poczynano sobie w Kościele dość elastycznie, było prawo, jakim rządzi się Kościół. I to jest wielkie w Kościele katolickim, że niezmiennie są w nim tylko dary zostawione nam przez Chrystusa dla naszego zbawienia, nie przypisujemy zaś cechy niezmienności niczemu, co nie jest niezmiennie ze swojej natury. A zatem Pismo Święte jest dla nas niezmiennie – dla każdego następnego pokolenia wierzących – słowem Bożym, niezmiennie też rozumiemy je zgodnie z wiarą wszystkich poprzednich pokoleń Kościoła. Zawsze w Kościele będzie udzielany ten sam chrzest i to samo odpuszczenie grzechów, i sprawowana ta sama Eucharystia. Aż do końca świata będą nas obowiązywały te same przykazania Boże, a zwłaszcza przykazanie miłości. Jest czymś nie do pomyślenia, żeby pod wpływem zmieniających się okoliczności Kościół odstąpił od moralnej nauki Ewangelii – żeby na przykład odwołał przykazanie miłości nieprzyjaciół czy zasadę nierozzerwalności małżeństwa. Ale też nie do pomyślenia jest, żeby Kościół miał się istotnie zajmować na przykład przepisami pokarmowymi.

Aż do końca świata będą nas obowiązywały te same przykazania Boże, a zwłaszcza przykazanie miłości

Owszem, może się zdarzyć, że –
przykładowo –
Kościół w Indiach –
zważając na warunki miejscowe –
wprowadzi, dajmy na

to, zakaz jedzenia mięsa z krowy czy nawet zakaz jedzenia mięsa w ogóle. Ale wówczas będzie wiadome, że jest to przepis prawa kościelnego, które podlega zmianom, a także dyspensie. Powtarzam, tylko dary, jakimi obdarzył nas Chrystus Pan dla naszego zbawienia, są w Kościele zawsze takie same. Wszystko inne w Kościele podlega dostosowaniu do zmieniających się okoliczności miejsca i czasu. Czuwanie nad tym Chrystus Pan powierzył, rzecz jasna, pasterzom Kościoła. Zmianom podlega nawet liturgia eucharystyczna, o czym świadczy różnorodność obrządków składających się na wielkie bogactwo Kościoła katolickiego. Zarazem jest czymś nie do pomyślenia, żeby Kościół kiedykolwiek zrezygnował z czegokolwiek, co stanowi istotę Eucharystii. Mogą być wprowadzane nowe święta, a stare tracić znaczenie, zarazem aż do chwalebego przyjścia Pana pierwszym świętem Kościoła będzie na pewno Wielkanoc, a niedziela, dzień zmartwychwstania Zbawiciela – świętem cotygodniowym.

Ale chyba te dwie strefy – niezmiennie i zmienne – w praktyce się przeplatają? Jak to jest na przykład z papieżem i papiestwem?

Aż do wypełnienia czasu następcą Piotra będzie pierwszym pasterzem Kościoła, a zarazem będą się zmieniały kanoniczne formy sprawowania tego prymatu – podobnie jak zmieniały się dotychczas. Teoretycznie ujmując ten problem następująco: jeżeli umówimy się, że terminem *primatus* będziemy nazywali prawdy dogmatyczne związane z urzędem następcy Piotra w Kościele, zaś terminem *papatus* nazwiemy kanoniczne formy określające posługę Piotra w Kościele, to dla katolika jest rzeczą jasną, iż *primatus* nie podlega w Kościele zmianom, podlega im jednak *papatus*.

A czy podobne odróżnienie znajdziemy w stosunku do Bożych przykazań, w dziedzinie moralnej?

Owszem, są one niezmiennie, ale zarazem otwarte na rozwój i pogłębienie. Zatem, jakkolwiek wielu współczesnych ludzi marzyłoby o przeprowadzeniu przez Kościół głębokich korekt w Bożych przykazaniach, zwłaszcza w przykazaniu piątym i szóstym, z góry należy wykluczyć możliwość, że Kościół mógłby kiedykolwiek naciskom w tym kierunku ulec. Z drugiej strony – świadomość moralna współczesnego Kościoła niewątpliwie ulega zmianom, w tym również zmianom zdecydowanie na lepsze. Dość sobie przypomnieć, jak wiele rzeczy pozytywnych na naszych oczach dokonało się w naszej chrześcijańskiej świadomości w stosunku do chorych psychicznie czy osób z intelektualną niepełnosprawnością. Z kolei stanowczy sprzeciw wobec aborcji rozciągnął się dzisiaj na protest przeciwko eksperymentom na ludzkich embrionach, przy czym staliśmy się jednak – w skali społecznej – bardziej wrażliwi zarówno na ludzką biedę kobiet, którym trudno przyjąć macierzyństwo, jak i na nieplodnych małżonków, niemogących doczekać się własnego dziecka.

Mówimy o zmianach, które odbywają się stopniowo, z pokolenia na pokolenie, czasami są trudno zauważalną ewolucją. Jednak Kościół doświadcza też reform, a więc pewnych zmian wprowadzanych zarządzeniami. Czasami mówi się o tym, tak jakby z kolejnych reform wyłaniał się inny Kościół, jak zupełnie nowe modele samochodów...

Jeżeli reformę zdefiniujemy jako świadomie podejmowaną zmianę na lepsze, która nie narusza podstaw tego, co poddawane jest zmianie – to z całą pewnością można powiedzieć, że Kościół potrzebuje reform, i to potrzebuje ich poniekąd nieustannie. Ale nawet z praktycznego punktu widzenia podejmowanie reformy wymaga - po pierwsze - rozważań. Nie podejmuje się gruntownej przeróbki statku, który znajduje się na pełnym morzu, ale naprawiać trzeba taki statek kawałek po kawałku. Inaczej reforma przemienia się w dekonstrukcję. Po drugie – kompetencji. Ten postulat sformułował obrazowo prawosławny diakon, Andriej Kurajew: „Wyobraźcie sobie, że pierwszy raz w życiu lecicie samolotem. I od razu po starcie idziecie do kabiny pilota i mówicie mu: «Ten drążek trzeba trzymać tak, te guziki należy przycisnąć, ładniej też będzie wyglądać, jak wyłączą się te wskaźniki...». Jakoś nikomu nie przychodzi do głowy dawać takie rady pilotowi, a wystarczy ledwie przekroczyć próg Cerkwi, a już się ma gotowe plany reform”.

Chyba rozważna i mądra reforma zakłada gotowość nawrócenia. A to z kolei oznacza, że dobrej reformy nie robi się w atmosferze religijnego relatywizmu, szukania po omacku?

Niestety, my uwielbiamy szukać Boga po omacku. Nawet kiedy Bóg już sam dał się nam poznać. Poznawanie Boga, który sam do nas przychodzi i oczekuje naszej miłości, wymaga od nas nawrócenia, przemiany. Szukanie Go natomiast po omacku do niczego nie zobowiązuje, jest doskonale dostosowane do grzeszników, którzy pogodzili się ze swoim grzechem i widzą w nim nieusuwalny i oczywisty wymiar ludzkiej natury. Religijność uprawiana w

ciemnościach i mrokach śmierci jest bez porównania łatwiejsza, niż oddawanie Bogu czci w duchu i w prawdzie, w świetle objawienia i mocy łaski.

W takim klimacie mogą więc zaistnieć takie pseudoreformy, które w praktyce polegają na próbie pogodzenia Kościoła z grzechem. Przykład Mojżesza, który zgodził się w sprawie rozwodów z zatwardziałością serca swoich współczesnych, wisi nad nami jako przestroga...

Dzieje Starego Testamentu pełne są świadectw, że ludzie używali wszystkich sposobów, aby uciec od Boga objawiającego swoją miłość. Lektura niektórych kart Biblii sprawia wrażenie, że Bóg pragnący nam się dawać nie ma wielkich szans w konfrontacji z naszą grzesznością, która tęsknotę za Bogiem miesza z pogardą dla Niego, i która wolałaby się Bogiem posługiwać niż Go kochać. Wręcz nie wiadomo, co tu trudniej zrozumieć: czy nasz lekceważący stosunek do tego, że samemu Bogu na nas zależy, czy może raczej to, że wybrany przez Niego lud, mimo wszystkich swoich niewierności, nigdy nie przestał być Jego ludem, że Bóg zawsze znajdował w nim swoich przyjaciół, którzy kochali Go prawdziwie i całym sercem.

Zatem obie cechy Boskiej Tradycji ujawniły się już w Starym Testamencie: zarówno jej kruchość, jak i dosłownie niespożyta żywotność. Niewierność i nieposłuszeństwo nieraz osiągały taki poziom, że wydawały się oznaczać niemal powszechną apostazję, a zarazem nigdy nie doszło do tego, żeby przerwane zostało przekazywanie znajomości Boga prawdziwego i miłości do Niego z pokolenia na pokolenie.

To również nasza współczesność. Przypomina mi się słynny marynistyczno-teologiczny obraz ze znanej homilii kardynała Ratzingera na rozpoczęcie konklawe w roku 2005: „Łódeczka myśli wielu chrześcijan była nierzadko huśtana przez te fale – miotana z jednej skrajności w drugą: od marksizmu do liberalizmu aż po libertynizm; od kolektywizmu do radykalnego indywidualizmu; od ateizmu do niejasnego mistycyzmu religijnego; od agnostycyzmu po synkretyzm i tak dalej”.

Burza morska, która zapowiada rychły koniec wiary chrześcijańskiej, wydaje się niemal normalnym sposobem istnienia Kościoła. W każdym razie już w czasach apostoelskich próbowano wiarę w Chrystusa prawdziwego zatopić w niewiarygodnie różnorodnych poszukiwaniach czysto ludzkich, tzn. bez Ducha Świętego i po omacku. Niewielu chrześcijan zdaje sobie dziś sprawę z tego, jak wiele świadectw tej batalii znajduje się w Nowym Testamencie.

„Nadziwić się nie mogę - wyrzuca Galatom Apostoł Paweł – że od Tego, który was łaską Chrystusa powołał, tak szybko chcecie przejść do innej Ewangelii. Innej jednak Ewangelii nie ma: są tylko jacyś ludzie, którzy sięją wśród was zamęt i którzy chcieliby przekreślić Ewangelię Chrystusową” (Ga 1,6-7). Z treści listu dowiadujemy się, że była to próba potraktowania Chrystusa jako wielkiego, może nawet największego proroka judaizmu. Paweł jest przerażony: przecież nie rozpoznać w Chrystusie Odkupiciela to tyle samo, co w ogóle Go odrzucić.

I nie jest tak, że Paweł broni jedynie innych poglądów, niż owi zwolennicy zamknięcia Chrystusa wewnątrz judaizmu. Apostoł nie ma najmniejszej wątpliwości, że gra idzie o przyjęcie lub odrzucenie największego Daru Bożego, jakim jest Chrystus: „Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy - niech będzie przeklęty” (Ga 1,8).

Mocne słowa. Dzisiaj autorytet kogoś, kto rzuca takie anatemy w imię Boga, zostałyby natychmiast podważony – i to najszybciej przez współwyznawców, którzy ogłosiliby, że to Paweł sprzeniewierzył się Boskiej dobroci.

Apostoł Paweł był zapewne chronologicznie pierwszym nauczycielem Kościoła, którego autorytet i naukę próbowano zdyskwalifikować bez podstawnymi zarzutami *ad personam*: że wcale nie chodzi mu o prawdę Bożą, tylko o rząd dusz i osobiste znaczenie, i że w ogóle uzurpuje sobie władzę duchową. List Apostoła świadczy i o tym, jak trudno sobie z takimi zarzutami poradzić, i o tym, że byłoby wielkim błędem pozwolić sobie zamknąć nimi usta. „To są fałszywi apostołowie, podstępni działacze, którzy udają apostołów Chrystusa” (2 Kor 11,13) - mówi z całym autorytetem swego apostołowskiego urzędu o tych, którzy chcieliby wiarę Kościoła w Koryncie zastąpić swoimi poszukiwaniami po omacku. Już Pan Jezus zapowiadał swojemu Kościołowi, że samo piekło będzie go próbowało wciągnąć w swoje bramy (Mt 16,18). Wspomnijmy jeszcze o dwóch bardzo groźnych atakach piekła na Kościół, o których wielokrotnie wspomina się w pismach Nowego Testamentu. Po pierwsze, o tendencjach libertyńskich, próbach nie tylko zaszczepienia, lecz także nobilitowania tego, co nazywa się dzisiaj moralnością permissywną. Przecież Chrystus przyniósł nam wolność! –

argumentowali przewrotnie ówcześni zwolennicy rozmycia granic między dobrem i złem. Szczególnie znamienna polemika z tymi tendencjami znajduje się w 1 Liście do Koryntian (6,12-20) i Liście do Efezjan (4,17-5,20). Pod koniec czasów apostołskich tendencje te odżyły w herezji nikolaitów, o których kilkakrotnie wspomina się w drugim rozdziale Apokalipsy.

*Już Pan Jezus zapowiadał
swojemu Kościołowi, że samo
piekło będzie go próbowało
wciągnąć w swoje bramy*

Słysząc ponadto już
w pismach
apostołskich
pierwsze pomruki
burzy gnostyckiej,
która później,
zwłaszcza w II wieku,

tak się rozszalała nad Kościołem. Zaczęły się mianowicie pojawiać coraz nowsze grupy poszukiwaczy duchowych, wciąż się transformujące, rozpadające i wchodzące w coraz nowsze sojusze, które przemieniały sferę religijną w targowisko niezliczonych wprost ofert mądrości rzekomo ostatecznej. Zamiast bezpośrednio odrzucać lub przeinaczać prawdę wiary, jak to czynią klasyczni heretycy, gnostycy usiłowali ją raczej zagłuszyć mnogością „świętokradzkiego pustostłowa” (1 Tm 6,20; 2 Tm 2,16), „mitami i rodowodami bez końca” (1 Tm 1,4), takim uczeniem się, „aby nigdy nie dojść do poznania prawdy” (2 Tm 3,7). Jeśli znajomość prawdy Bożej porównać do stania na mocnej skale, to podatność na coraz nowszą propagandę gnostycką cechuje – zdaniem Apostoła Pawła – ludzi o mentalności infantylnej, „którymi miotają fale i porusza każdy powiew nauki, na skutek oszustwa ze strony ludzi i przebiegłości w sprowadzaniu na manowce fałszu” (Ef 4,14).

To ja, w tym kontekście, pozwolę sobie na doczytanie dalej tego fragmentu homilii kardynała Ratzingera, który przypomniałem wyżej: „Każdego dnia rodzą się nowe sekty i urzeczywistnia się to, co święty Paweł nazywa «oszustwem ze strony ludzi i przebiegłością w sprowadzaniu na manowce fałszu» (por. Ef 4,14). Posiadanie jasnej wiary, zgodnej z credo Kościoła, zostaje często zaszufładowane jako fundamentalizm. A tymczasem relatywizm, to znaczy zdanie się na «każdy powiew nauki», zdaje się być jedyną postawą godną współczesności. Ustanawiany jest rodzaj dyktatury relatywizmu, która nie uznaje niczego za pewnik, a jedynym miernikiem ustanawia własne «ja» i jego zachcianki”.

Zatem kruchość wydaje się nieodłączną cechą Tradycji niosącej dobrą nowinę o zbawieniu. Już w czasach apostoelskich została ona poddana różnym ciężkim próbom i - Bogu dziękować - również w odniesieniu do Tradycji weryfikuje się prawda, że „moc w słabości się doskonali” (2 Kor 12,9).

Zarazem jednak zastanawiająco często Nowy Testament uprzedza nas, że Kościół czekają próby znacznie cięższe niż te z czasów apostoelskich. „Wiem, że po moim odejściu - prorokował Apostoł Paweł - wejdą między was wilki drapieżne, nie oszczędzając stada. Także spośród was samych powstaną ludzie, którzy głosić będą przewrotne nauki, aby pociągnąć za sobą uczniów” (Dz 20,29-30). Wtóruje mu Apostoł Piotr: „będą wśród was fałszywi nauczyciele, którzy wprowadzą wśród was zgubne herezje. Wyprą się oni Władcy, który ich nabył, sprowadzą na siebie rychłą zgubę. A wielu pójdzie za ich rozpustą, przez nich zaś droga prawdy będzie obrzucona bluźnierstwami” (2 P 2,1-2). Czasem

zaś próbą najszczególniejszą dla naszego trwania przy Chrystusie, który jest Prawdą, mają być dni ostateczne (Mt 24,23-24; 2 Tes 2,9-12; 1 Tm 4,1; Ap 13,12-14). Co o tym wszystkim sądzić? Jedno jest pewne: „Lecz kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony” (Mt 24, 13).

Mówiliśmy o pewnym rozwoju w rozumieniu prawdy Objawienia. Zmienia się jednak także - o wiele bardziej - sposób unieważniania tej prawdy. Święty Jan Paweł II mówił o „pełzającej apostazji”. Pełzająca – czyli ukryta, podstępna?

Mentalność współczesna próbuje narzucić chrześcijanom nowy, wiekom poprzednim chyba nieznan, rodzaj zrelatywizowania Jezusa. Dzisiaj żąda się od chrześcijan, ażeby wyrzekli się swojej wiary, że Jezus jest darem Ojca Przedwiecznego dla wszystkich ludzi, że umarł za grzechy wszystkich ludzi i ma moc wszystkich doprowadzić do życia wiecznego. Mówi się nam: „Możecie sobie wierzyć, że Jezus jest waszym Zbawicielem; dokonujecie jednak duchowej agresji przeciwko niechrześcijanom, kiedy mówicie, że On jest Zbawicielem wszystkich”. Mówiąc metaforycznie: wolno wam sądzić, że księżyc jest czymś więcej niż lampą uliczną, jednak musicie wiedzieć, że poza terenem waszej parafii jest on tylko lampą uliczną.

Ludziom tak rozumującym trudno wyjaśnić, że stawiając tego rodzaju żądania, w gruncie rzeczy zakazują nam wierzyć w Jezusa. Bo jeżeli On tylko dla nas, wierzących, jest Synem Bożym, albo jeżeli tylko nas odkupił, to jest On Synem Bożym i Zbawicielem tylko w naszych poglądach, a w rzeczywistości nie jest ani jednym, ani drugim.

Przeciwko takiej banalizacji wiary w Chrystusa protestowała słynna deklaracja Dominus Iesus z roku 2000, podpisana przez kardynała Ratzingera, a wydana na polecenie świętego Jana Pawła II. Wrzawa, która się natychmiast podniosła przeciw niej, oznacza – moim zdaniem – że i wśród teologów katolickich była duża gotowość na traktowanie Pana Jezusa jako naszą partykularną świętość – która nie musi mieć wpływu na życie niechrześcijan.

Pierwszym zadaniem teologa chrześcijańskiego jest wytrwałe przypomnienie, że w Jezusa Chrystusa albo wierzy się naprawdę, albo uprawia się zabawę w wiarę. Natomiast teolog chrześcijański, który dostosowując się do współczesnej mentalności, próbuje rozmontować wiarę, że Jezus Chrystus jest prawdziwym Bogiem i prawdziwym Człowiekiem, równym swojemu przedwiecznemu Ojcu, Synem Bożym i Zbawicielem wszystkich ludzi, jest w gruncie rzeczy niszczyicielem wiary, a nie jej sługą, nawet jeżeli jego subiektywne intencje są jak najlepsze. W jakimś sensie wolno kogoś takiego nazwać antyteologiem, nawet jeżeli skądinąd jest on kierownikiem Katedry Katolickiej Teologii Dogmatycznej. Przypomnę tu intuicję C.S. Lewisa, przedstawioną w piątym rozdziale jego eseju *Rozwód ostateczny*, że uprawianie teologii będzie jednym z najbardziej interesujących zajęć w wiekuistym mieście bez Boga, czyli w Piekło. Bohaterem tego rozdziału jest teolog, który swojego czasu wsławił się odrzuceniem prawdy o Zmartwychwstaniu. Poczytywał to sobie za cząstkę swojej służby prawdzie, a również za akt odwagi i wolności myślenia.

Jego młodszy kolega i dawny zwolennik próbuje mu uprzytomnić jego zakłamanie. Bo cóż to była za odwaga, skoro nic innego nie mogło z niej wyniknąć, „niż to, co rzeczywiście nastąpiło: stałeś się sławny, twoje książki sprzedawały się świetnie, zapraszano cię wszędzie, a w końcu zostałeś biskupem”.

A czy to była służba prawdzie? „Przecież wiesz, że graliśmy znaczonymi kartami. Nie chcieliśmy, żeby co innego okazało się prawdą.

Obawialiśmy się prostackiej wiary w Zmartwychwstanie, zerwania z duchem czasu, ośmieszenia, ale przede wszystkim baliśmy się prawdziwego życia duchowego, jego lęków i nadziei”.

*W Jezusa Chrystusa albo
wierzy się naprawdę, albo
uprawia się zabawę w wiarę*

I nie byliśmy wolni w myśleniu - próbuje przekonać starszego kolegę młodszy.

„Bądźmy ze sobą szczerzy. Do naszych

poglądów wcale nie dochodziliśmy uczciwie. Po prostu zetknęliśmy się z pewnym nurtem i daliśmy mu się unieść, bo wydawał nam się nowoczesny i obiecujący. Na uniwersytecie automatycznie zaczęliśmy pisać tylko to, co było oceniane wysoko, i mówić tylko to, co spotykało się z aprobatą”.

Jednak słowa prawdy w ogóle nie docierają do pogrążonego w potępińczym samozadowoleniu teologa. Toteż kiedy został zaproszony do wędrowki na spotkanie z samym Bogiem, ów nieszczęśnik wolał pójść na zebranie działającego w piekle Towarzystwa Teologicznego.

Piekielne Towarzystwo Teologiczne to wizja trochę jak z Dantego. Ale taki teolog to zwodziciel, którego działanie rzeczywiście może mieć udział w zapelnianiu piekła duszami. Mimo to ma być to bezkarne?

Nie da się rozsądnie zakwestionować prawa biskupów, ze Stolicą Apostolską na czele, do czuwania nad tym, aby nauczanie realizowane w imieniu Kościoła nie sprzeciwiało się wierze Kościoła. Owszem, współczesna wrażliwość demokratyczna domaga się tego, ażeby – w miarę możliwości – doktrynalną interwencję Magisterium zastąpić dialogiem z zainteresowanym teologiem, tak aby miał on możliwość swobodnego przedstawienia swych racji i odparcia zarzutów. Jednak zupełne odmawianie Urzędowi Nauczycielskiemu prawa do interwencji doktrynalnej równałoby się odmawianiu Kościołowi prawa do doktrynalnej tożsamości, byłoby przymuszaniem Kościoła do wyparcia się wiary i zastąpienia jej ustalonymi przez ludzi wierzeniami. Jeżeli ktoś chce być teologiem katolickim, tym samym obowiązuje się do tego, że nie będzie używał swojej wolności przeciwko wierze Kościoła.

Z drugiej strony – czy bycie teologiem to powtarzanie gładkich zdań, bycie „po linii i na bazie”?

Nie jest oczywiście tak, że teologia, która budzi sprzeciw jakichś innych teologów lub biskupów, tym samym jest teologią podejrzaną lub nawet antyteologią. Przecież pluralizm należy poniekąd do urody prawowiernej teologii. Ponadto, warto przypomnieć, że w historii Kościoła zdarzało się niekiedy, iż głównymi obrońcami zagrożonej prawowierności byli bardziej teologowie, niż biskupi. Niekiedy nawet

pojedynczy teologowie – żeby przypomnieć posługę, jaką podczas soboru w Nicei wypełnił święty Atanazy, wówczas jeszcze diakon, albo męczeński sprzeciw świętego Maksyma Wyznawcy w obliczu monoteizmu, kiedy zastraszone przez twórców tej herezji episkopat (za wyjątkiem jedynie papieża Marcina I) wydawał się ją popierać. Przykłady takich wielkich teologów, jak Atanazy czy Maksym, przypominają, jak wielkim darem dla Kościoła może być teolog naprawdę duchowo suwerenny. Czysto zewnętrzne posłuszeństwo nauce Kościoła, na wzór posłuszeństwa, jakie ludzie nieceniący swojej wolności okazują różnym ideologom, tylko obrażałoby Boga. „Pan zaś jest Duchem, a gdzie jest Duch Pański – tam wolność” (2 Kor 3,17). Nigdy nie jest tak, żeby słowo Boże docierało do kogoś wyłącznie od zewnątrz. Słowo Boże, zapisane w Piśmie Świętym albo głoszone ustami człowieka, naprawdę słyszymy dopiero wtedy, kiedy pouczy nas o nim nauczyciel wewnętrzny, któremu na imię Duch Święty.

Rzecz jasna, nie każdy duch, który w naszym wnętrzu poucza nas o prawdach wiary, jest Duchem Świętym. Takie pouczenia mogą płynąć również z ducha pychy albo z ducha rozłamu i niezgody, z ducha konformizmu i tym podobnych. Istnieje proste kryterium, jak odróżnić Ducha prawdy od różnych duchów niedobrych: niemożliwe jest, żeby ten sam Duch Święty inaczej nauczał w Kościele, a inaczej w moim wnętrzu, niemożliwe jest również, żeby Duch Święty nauczał dzisiaj czegoś sprzecznego z wiarą poprzednich pokoleń.

I tu właśnie pojawia się zwykle konflikt: mówi się nam, że pierwszeństwo musi mieć doświadczenie wewnętrzne oraz bardziej lub mniej określone „wymagania dzisiejszych czasów”.

Warto zwrócić uwagę na kryterium pomocnicze: prawdziwa wierność dogmatom Kościoła wymaga zazwyczaj odwagi. Nie wymaga zaś odwagi ani jałowa i bezduszna, zniechęcająca do wiary prawowierność, ani modne dzisiaj i budzące poklask dystansowanie się wobec oficjalnej nauki Kościoła. Otóż sam zdrowy rozsądek każe wątpić, ażeby można było uzyskać duchową suwerenność poprzez uleganie owczemu pędowi. Teolog z prawdziwego zdarzenia stara się w taki sposób aprobować nieomyślne zdania wyrażające prawdę wiary, ażeby odsłaniać ich otwarcie na Bożą Rzeczywistość, o której one mówią.

Jednak dzisiaj taki owczy pęd w „nadażaniu” za opiniami świata o Jezusie uchodzi tu i tam właśnie za odwagę w reformowaniu Kościoła.

Znamiennym świadectwem kruchości Tradycji apostoelskiej, w której nasze pokolenie jest zanurzone, a zarazem jej tożsamości i żywotności, jest posoborowa działalność Kongregacji Nauki Wiary. Przeglądając najważniejsze dokumenty tej Kongregacji, odnosi się wrażenie, że nie ma chyba ani jednej istotnej prawdy wiary, która nie byłaby przez jakichś współczesnych katolickich teologów przeinaczana. Sytuacja wydaje się zdumiewająco podobna do czasów apostoelskich – zarówno w zakresie różnorodnych kwestionowań samych fundamentów wiary chrześcijańskiej, jak i w wyraźnym głoszeniu prawdy Bożej przez kościelne Magisterium.

Ale kontekst kulturowy, cywilizacyjny mamy dziś zupełnie inny. Obecny kryzys doktrynalny jest zrozumiały dopiero, gdy weźmie się pod uwagę tę presję nowoczesności.

Zwróćmy uwagę na trzy przyczyny poniekąd cywilizacyjne, wynikające z naszej współczesnej cywilizacji.

Przyczyną pierwszą wydaje się charakterystyczny dla czasów współczesnych kryzys zmysłu prawdy. Dawniej radykalni agnostycy głosili niemożność poznania przez nas prawdy ostatecznej, dziś niektórzy postmoderniści kwestionują sensowność samego nawet pojęcia prawdy. Doświadczeniem milionów tak zwanych zwyczajnych ludzi jest potop słów, jaki nas zalewa codziennie w wyniku oszałamiającego rozwoju technik komunikacyjnych. W tej sytuacji pracownicy słowa dążą głównie do tego, żeby ktoś jednak ich słuchał – starają się zatem głównie o to, żeby ich słowo było interesujące, podobało się, zostało przyjęte, zaś troska o prawdę staje się czymś wtórnym lub w ogóle zanika.

Atmosfera ta może się udzielić nawet głosicielom wiary. Zdarza się, że kaznodzieja lub teolog zastanawia się przede wszystkim nad pytaniem, czy to, co on głosi, ludzie przyjmą, a ginie mu z oczu pytanie, czy to jest prawdą. Któż nie spotkał się z apodyktycznymi stwierdzeniami, że w epoce psychoanalizy niemożliwa jest wiara w dziewicze poczęcie Syna Bożego, albo że po Oświećmiu staliśmy się niezdolni wierzyć w osobowego Boga? W ten sposób biblijna zasada posłuszeństwa prawdzie ustępuje zasadzie posłuszeństwa aktualnie obowiązującym opiniom.

Kryzys zmysłu prawdy to ciężka choroba. Co do niej dochodzi?

Drugą przyczyną kryzysu doktrynalnego w naszym Kościele wydaje się indywidualizm. W znacznej mierze zapomnieliśmy o tym, jak ważnym wymiarem wolności jest „być u siebie w domu” (por. he eleutera gyne, wolna kobieta, to u Greków mężatka, a liberi u Rzymian to dzieci, jako ci domownicy, którzy, w przeciwieństwie do niewolników, są u siebie w domu; por. J 8,35). Stąd kryzys naszych domów duchowych – rodziny, Ojczyzny, Kościoła. Naszą duchową tożsamość chcielibyśmy osiągnąć niezależnie od naszych przynależności. Otóż realizowanie takiej postawy przez katolickiego teologa jest szczególną nielojalnością – i wobec Kościoła, i wobec tych ludzi spoza Kościoła, którzy mają prawo sądzić, że teolog katolicki naucza zgodnie z katolicką wiarą. Instrukcja Donum veritatis o powołaniu teologa w Kościele (1990) stąd właśnie czerpie uzasadnienie, dlaczego teologowi nauczającemu niezgodnie z wiarą katolicką wolno cofnąć misję kanoniczną: Urząd Nauczycielski „broni w ten sposób praw Ludu Bożego do otrzymywania nauki Kościoła czystej i integralnej, a więc przed niepokojeniem go opiniami szczególnie niebezpiecznymi”.

Wreszcie po trzecie, ze współczesnym indywidualizmem oraz kryzysem naszych przynależności wspólnotowych wiąże się kryzys zakorzenienia w dziejach i wynikająca stąd obojętność na los pokoleń, które przyjdą po nas. Nieraz zachowujemy się tak, jakby świat zaczynał się i kończył na naszym pokoleniu. W Kościele wyraża się to kryzysem wiary w świętych obcowanie, obniżonym poczuciem wspólnoty z poprzednimi pokoleniami. Również wspólnota z poprzednimi pokoleniami Kościoła w wierze nie jest dla ludzi dotkniętych tym kryzysem przedmiotem pierwszorzędnej troski. Ludzie o tej mentalności nie będą czuli powściągu przed majsterkowaniem przy prawdach wiary.

Te ciężkie choroby zdają się dominować nad naszą współczesnością.

Los Bożej Tradycji o Jezusie Chrystusie wydaje się w naszym pokoleniu podobny, jak w czasach apostołskich: jest ona żywotna mocą Bożą i wiecznotrwała, a zarazem tak krucha, że również dzisiaj łatwo jest prorokować rychły koniec wiary chrześcijańskiej. Niektórzy przypominają więc fragment z Katechizmu: „Przed przyjściem Chrystusa Kościół ma przejść przez końcową próbę, która zachwieje wiarą wielu wierzących. Prześladowanie, które towarzyszy jego pielgrzymce przez ziemię, odsłoni tajemnicę bezbożności pod postacią oszukańczej religii, dającej ludziom pozorne rozwiązanie ich problemów za cenę odstępstwa od prawdy. Największym oszustwem religijnym jest oszustwo Antychrysta, czyli oszustwo pseudomesjanizmu, w którym człowiek uwielbia samego siebie zamiast Boga i Jego Mesjasza, który przyszedł w ciele” (KKK 675). Jednak w każdym czasie powinniśmy sobie przypominać przede wszystkim, że ochrona prawdy o Chrystusie to nie walka poglądów.

Apostołowie chroniąc narażoną na różne przeinaczenia prawdę o Jezusie Chrystusie, nie mają w sobie nic z obrońców oblężonej twierdzy. Obrona prawdy to zadanie ważne, ale Apostołowie spełniali je jakby mimochodem; główną uwagę skupiali na głoszeniu Dobrej Nowiny i zakorzenianiu się jej w sercach tych, którzy uwierzyli. Celem głoszenia Dobrej Nowiny nie jest bowiem przekonywanie do określonych religijnych prawd, ale zapraszanie do przyjęcia Chrystusa.

Z ojcem Jackiem Salijem OP rozmawiali Paweł Milcarek i Tomasz Rowiński

Wywiad został opublikowany w książce *Non Possumus. Niezgoda, której uczy Kościół*, wydanej przez Demart w 2020 roku. Wywiad publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy.

Foto: Ks. Henryk Zieliński *Idziemy*